

12 str  
ebl.

Stanisław Sareło

Relację nagrała Janina Wołczuk

Wykorzystanie do tematu: Ziemia Lidzka ...

 ARCHIWUM WSCHODNIE

Sareło Stanisław, urodzony 30. IV 1927 r. w Ejtunach, parafia Trokiele, powiat Lida /obecnie województwo Grodno/. Rodzice: Emilia i Konstanty. Rodzina mieszkała tam od pokoleń. W Ejtunach było dużo Sarełów, większość była spokrewniona między sobą. Tylko jeden Sareło był z drugiej wioski, z Dejnowa, on przyszedł do Ejtun "w prymy", do Bildzia.

We wsi byli różni ludzie - i biedniejsi i bogatsi. Bogatsi mieli więcej ziemi, na przykład Ostrejko miał 20 ha, mojej teściowej brat. Oni kiedyś przyjechali z Ameryki i kupili gospodarstwo. Bronis Sareło też był bogatszy - miał około 15 ha. Najbiedniejsi mieli po 3 ha. Biedniejszych gospodarzy było więcej niż bogatych. Wioska nie należała do najbiedniejszych, była średnia.

We wsi była szkoła, był sklep. W szkole były 4 klasy. Chodziłem do tej szkoły. Nauczycielką była taka panna Różia z Krakowa, nazwiska jej nie pamiętam. Skończyłem u niej 4 klasy. Sklep był w domu Sareły, prowadził go Baryła - człowiek z obcej wioski. Potem był drugi sklep - trzymał go Giecz. W sklepie była nafta, cukier, towary dla dzieci, ziarnka - "siemieczka".

U nas w rodzinie było czworo dzieci, dwoje rodziców i babcia. Mieliśmy 12 ha. Żyło się dobrze, zaможnie. Wszyscy pracowali przy gospodarstwie. Mieliśmy swoją młócałnię, swój podkierat - były podstawowe maszyny rolnicze, ale zboże żęli jeszcze sierpami.

Niektórzy chłopcy we wsi mieli już przed wojną rowery: Żuk Franek i paru innych. Rowery były drogie, na rower trzeba było sprzedać krowę. Radia we wsi nie było, nawet w szkole. Gazety we wsi były, dla dzieci kupowano w szkole "Płomyczek". W szkole też była biblioteka, ale ona była tylko dla szkolnych dzieci. Dorosli niektórzy umieli czytać. Ale dużo ludzi nie umiało się podpisać, przystawiało odcisk palca zamiast podpisu. Moja babcia była staruszką, ale czytać umiała. Rodzice umieli czytać, ale pisać nie umieli. W domu były książeczki do nabożeństwa. Była kantyczka, śpiewali z kantyczek. We wsi byli śpiewacy, którzy śpiewali na pogrzebach. To byli ludzie z pięknymi głosami, m.in. Furman Ignalka, Oleś Sareło /ten, co teraz w Rabożewicach/, Kuziuk Oleś, Narkiel, Ignac Żuk. Kobiety nie chodziły śpiewać po zmarłych, ale też miały piękne głosy, bo śpiewały w kościele na chórze. W kościele w Trokiełach był chór, do którego zbierali się ludzie z różnych wiosek. Organista robił próby i wszyscy umieli i kolędy i pieśni na Wielkanoc.

Ludzie byli bardzo pobożni. Do kościoła chodzili wszyscy,

Sareło Stanisław c.d.

jeździli końmi. Do Trokiel było 3 km. Co niedziela było nabożeństwo o godzinie 12-ej. W Ejtunach byli prawie sami katolicy. Były chyba dwie rodziny prawosławne: Ostrejko Mikołaj /?/ i Rojsza. Ostrejkwie nie byli szlachtą, byli chłopami. Mieszkali też w okolicznych wioskach. Rojszów było dwóch: Michał i Andrzej. Prawosławni jeździli do swego kapłana do Żyżmy - tam były pogrzeby prawosławne. W Żyżmie prawie wszyscy byli prawosławni.

W Trokielach przez całą wojnę był ksiądz. Potem był zamknięty do więzienia raz, a potem był zamknięty po raz drugi - przyjeżdżało po niego NKWD aż z Grodna. Ludzie pisali wszędzie - nawet do Moskwy. Był taki kulawy Czyż /?/ czy Pyż /?/ - kacap w Trokielach i on bez przerwy bruździł. Moskwa odpisała ludziom, że sprawa księdza zależy od władzy miejscowej, a ta miejscowa władza - to był właśnie on. Wtedy ludzie zrobili ołtarz pod drzwiami kościoła, a potem w kaplicy. Początkowo przez jakiś czas kościół był otwarty i ludzie chodzili bez przerwy, modlili się bez przerwy. Kiedy my wyjeżdżaliśmy w 1957 roku do Polski, to już w Trokielach był ksiądz. Wrócił z więzienia i cały czas był, a w 1958 czy 1959 roku też wyjechał do Polski.

W 1957 roku jeździłem do księdza po metryki. Ale okazało się, że kiedy księdza zabrali do więzienia, to wszystkie księgi z parafii zabrali do Grodna. Musiałem więc jechać do Grodna i tam dostałem wszystkie metryki. Kiedy księdza aresztowali, to Trajgis z Miejkun opiekował się kościołem. Ludzie mieli klucze, on porządkował kościół. To był Michał Trajgis, a kiedy on zmarł, to wszystko robił jego syn. Ale teraz już księdza dali do Trokiel. Kiedy księdza nie było, to Trajgis odprawiał nabożeństwo - Biblię czytał i modlił się.

Kiedy nie było księdza, to księdza na pogrzeby przywozili aż z Lipniszek. Chrzty i śluby też były w Lipniszkach. I po opłatkach też jeździli do Lipniszek i święcić też jeździli do Lipniszek - zbierali się całą wioską i wieźli.

Przed wojną w kościele kazanie było po polsku i śpiewało się po polsku. We wsi mówili "po prostu" ale kazanie każdy rozumiał. Ludzie spowiadali się też po polsku. W niektórych miejscowościach: Hermaniszkach, Pożyźmie czy Cieszkielach ludzie mówili tylko po polsku - tam była szlachta. A w Ejtunach mówili po białorusku. A jak spotkał się ktoś ze szlachcicem, to mówił po polsku, na odpustach, na rynku - byle gdzie. Dzieci przychodziły do szkoły do naszej wioski z Cieszkielów. W Cieszkielach mieszkała szlachta.

W Mariampolu koło Trokiel mieszkali osadnicy - to byli osadnicy od Półsudskiego. Dużo było z Polski centralnej. Ludzie nazy-

Sareło Stanisław c.d.

wali ich "mazurami". Oni kontaktowali się z okoliczną ludnością - przychodzili na zabawy i żenili się z miejscowymi dziewczynami. Ja sam chodziłem do Mariampola - do "warszawiaków". Nasze ziemie graniczyły z ich ziemiami. Potem ich wywieźli, m.in. też Stefkę Sarełów /po mężu Urbanowicz/, która jest w Białopolu. Urbanowicz był osadnikiem, ale on pochodził z naszych stron. Stefkę wywieźli w 1940 roku - jej dziewczynka zmarła /zamarzła/ gdzieś w Baranowiczach i wyrzucili gdzieś do rowu. Wtedy dużo dzieci pomarzło.

Pamiętam, jak w 1939 roku szła ta hołota, szarańcza bolszewicka - wszystko zasmrodzili, zabrudzili.

Przed wojną sołtysem w Ejtunach był Kudźma Stanisław /żyje teraz w Piechowicach/, został przez Rosjan wywieziony na Sybir. Kudźmę wywieźli samego - bez rodziny. W Ejtunach została żona i dwóch synów. Żona zmarła po wojnie w Ejtunach, a synów potem Kudźma zabrał do Polski, już w latach 50-ych. Drugi Kudźma - Witek - wrócił po wojnie z niewoli niemieckiej do Ejtun z żoną Niemką. Niemka ta zachorowała i zmarła; potem Witek ożenił się z Sarełową i mieszka w Ejtunach. Pomagał bratowej chować te dzieci. Chłopcy ci pojechali do ojca chyba w 1958 roku.

Byłem aresztowany przez Rosjan w 1952 roku. Pobiliśmy się z ruskimi. To było tak: przyszły władze rosyjskie - inspektor finansowego oddziału towarzysz koś z Lidy, Marian Pluta - chyba agent tego finansowego oddziału, Zaika - też Rosjanin /pochodził gdzieś z Żyżmy/. Przyszli 6 maja 1952 roku. W Ejtunach był już kołchoz. Ale my nie należeliśmy do kołchozu, ale ziemi swojej nie mogliśmy już uprawiać. Nawet jak kura wyszła z podwórka, to taki kacap - predsiedatiel Karańczuk z dubeltówki tę kurę zastrzelił /miał broń/. Wtedy ci agenci chodzili po wiosce z obligacjami, był taki "zajom". Staliśmy z ojcem na podwórku - tato mówił, co mamy jeszcze do zrobienia. Wtedy przyszedł ten Zaika i pyta, o czym my radzimy. My na to, że radzimy, jak zarobić, żeby wypłacić się z podatków. Zapaliliśmy i wtedy ten Zaika mówi, że na nas wypada 200 rubli "zajomu" /czyli pożyczki państwowej/ - te obligacje dawały "na chama". Tato pyta, czemu tak dużo? A oni wybrali takich zamożniejszych gospodarzy i dali im tyle. Tato mówi, że ma przy sobie tylko 100 rubli i może na tyle wziąć obligacji. Ale on na to, że nie trzeba się spieszyć, że jeszcze się zdąży zapłacić. Zabrał się i poszedł. Ściemniło się i zaraz oni się pozbierali /było ich siedmiu/ i zaszli prosto do nas. W domu była mama i babka, bo ojciec poszedł do stodoły spać, a ja poszedłem "na wieczorki".

Wtedy oni zapytali, gdzie gospodarz i powiedzieli mamie, że

Sareło Stanisław c.d.

idą do chlewa i stodoły obejrzeć nasz dobytek. A u nas koło studni była wkopana taka szyna i do niej przymocowany drut, po którym bigał pies - taki duży wilczur. Pies zaczął szczekać, to oni oderwali od płotu sztachetę, zapędzili psa do budy i otworzyli stajnię. Na drzwiach stajni wisiła uzdeczka. Z lewej strony stajni - od wejścia - stała klacz: czerwona, 5-cioletnia, sliczna, tłusta. Wtedy ten ruski nałożył klaczy uzdę - i wyprowadził. A ojciec usłyszał w stodole, że pies ujada, wyszedł do drzwi i widzi, że banda klacz wyprowadza. Ojciec wyskoczył... i do nich: wy bandyci, złodzieje, ja pracuję ciężko, żeby podatki poopłacać, a wy przyszlicie tu w nocy mnie grabić! /Mielismy jeszcze ratę podatku do zapłacenia - 1 500 rubli, ale jeszcze mieliśmy czas; była krowa na ocieleniu, mieliśmy ją po wycieleniu sprzedać i zapłacić ten podatek - tak, że z podatkami nie zalegaliśmy/. I tak na ulicy z nimi się ciągał. A siostra przyleciała do mnie i mówi: "Ty tutaj siedziesz, a ruskie tatę biją!" Ja przyleciałem, jak dałem temu Zaiku w zęby, to on i przewrócił się na płot. A tata zerwał klaczy uzdeczkę, dał nogą pod brzuch - klacz i poszła na łąki... Wtedy Łoś poszedł do sołtysa /sołtysem był Michaś Żuk - po przydomku "Garnadzier"/. Sołtysa wybrała chyba wioska.

Zaraz sołtysa przychodzi i mówi, żeby pozbierać wszystkie kwity, nakazy, dokumenty i przyjść do sołtysa, gdzie czekali już ci ruscy. Tata wszystko pozbierał i poszedł - a ja za tatem. Pomyślałem sobie, jak będą tatę bić, to ja wpadnę i pozabijam ich. Ale nic - skakali koło taty jak diabły i nałożyli nam dodatkowo 18 000 podatku! A podatki już były wysokie. Trzeba było zdawać wszystko: kartofle, zboże, jajka, wełnę, skóry - wszystko trzeba było oddać. Mielismy 12 ha ziemi, mogliśmy płacić te podatki tak długo, jak mieliśmy zapasy z dawniejszych czasów, a potem już nie było możliwości. Za krowę można było wtedy dostać jakie 1 200 rubli. Tak że tych 18 000 rubli nie było jak zapłacić, ta suma była nie do zapłacenia. Tak napadli na nas pierwszych w wiosce. I musiałem potem jechać na Karekofinsk.

Po tym wieczorze na drugi dzień przyjechali znowu od nas zabierać dobytek. Wzięli z Migunów dwie furmanki i przyjechali do nas - <sup>inny</sup> znowu z nimi walczyć. Nas było dwóch a ich siedmiu. Każdy chwycił, kto za co - i wygoniliśmy ich aż na ulicę. Wtedy oni przenielefonowali do Lidy do prokuratora. Ten zadecydował, że da na pomoc milicję. To było 7 maja.

Sareło Stanisław c.d.

Na trzeci dzień przyjechała milicja. Wtedy już ja uciekłem z domu do Sareły i schowałem się na strych. A tatę wzięli pod ręce, przytrzymali, zabrali krowę i klacz i poprowadzili. Po tej sprawie nie było żadnego sądu ani nic, tylko ja dostałem wezwanie, żeby stawić się do pracy na 3 lata do Karełofinska - to było wezwanie z Lidy /z rajkoma partii czy skad/.

Wyjechałem do: oddział Lespromchoz Pietrozawodsk, posiołek Huszkała /obłast chyba Pietrozawodsk/. W Pietrozawodsku był taki punkt, na który przyjeżdżali "kupy" siły roboczej.

Wyjechalismy z Lidy dużą grupą. To wszystko byli młodzi ludzie od nas, miejscowych. Był Sareło Edek, Bildź Wacék /teraz mieszka w Gliwicach/ - z Ejtun. Był z Tokarów Buturla Janek. Były w naszym posiołku też dziewczyny z Kobylnik. Nikt z nas nie pojechał tam dobrowolnie. Dziewczyny były w jednym baraku, a my w drugim.

Z Lidy wywieźli nas około 200 osób - towarowym wagonem: baniak przykuty do wagonu, garnuszek na łańcuszku. Zawieźli nas do Wilna, w Wilnie przetrzymali noc na stacji - z wagonów nas wypuścili, ale byliśmy pod strażą. Z Wilna zawieźli nas aż do Leningradu. W Leningradzie zapędzili nas do łaźni i znów na pociąg - i aż do Pietrozawodska /jechałismy chyba ze 3 dni/. W pociągu kto miał swoje, to jadł. Jedzenia nie dawali, wagony były zimne. Siedzieliśmy jeden koło drugiego na swoich torbach.

Przyjechalismy do Pietrozawodska. Tam posortowali nas: nazwisko - i na bok, nazwisko - i na bok. Tam poprzyjeżdżali tacy kupcy siły roboczej i brali po 150 po 200 osób. W Lidzie powiedzieli nam, że jedziemy na roboty karne.

Wzięli nas 200 osób i powieźli do tego posiołka Huszkała. Tam były baraki, a w barakach tacy jak my - skierowani do robót karnych. Było tam różnych ludzi: i Cyganie, i Żydzi, i Koreańcy. Miejscowej ludności tam nie było. Były tylko baraki dla nas i barak-łaźnia nad jeziorem. W części baraku był kąpiel na zebrania. Na nas mówiono "zapadniki" - tak nas określał majster Lespromchoza Kowalcow.

Dali nam po 1 kocu, po prześcieradle i nawleczkę na poduszkę. Jako materac była słoma, trawa. Były z okrągłaków pozbijane niby łóżka. W takim posiołku ludzi były tysiące.

Pracowalismy w lesie, piłowalismy drzewo do kopalń. Dziewczyny obcinały gałęzie, czyściły te pnie, paliły gałęzie. Niektóre dziewczyny robiły jak mężczyźni - była taka Liza - Koreanka, to ona robiła jak dwóch chłopów.

Pracował ile kto chciał. Jak ktoś nie chciał pracować, to

Sareło Stanisław c.d.

nie wychodził do roboty. Za to nie karali. Posiołek nie był pilnowany, tylko potem chodził brygadzysta i spisywał, kto ile roboty wykonał.

Do Huszkały z Pietrozawodska dojechaliśmy samochodami, tam już pociąg nie dochodził. Jechaliśmy samochodami dzień i noc.

Zarobki były marne. Trzeba było samemu się wyżywić. Można było kupić na czterech bochenek chleba /chleb dowozili takim kucykiem/. Chleb był zamrożony, jak się go położyło w ciepłe, to prawie ciekł. Można było jeszcze kupić margarynę i cukier w kawalkach. I to było jedzenie: chleb posmarujesz margaryną, cukier na pniaku pobijesz i posypiesz tym chleb... Stołówki nie było. W baraku był piec. W sklepie można było kupić kartofle, ale to były kartofle bardzo wodniste. Czasami gotowaliśmy sobie na nas czterech /byliśmy cały czas razem/ garnuszek kartofli. Z domu przysyłali nam po świniobiciu kiełbasę, słoninę, cebulę, czosnek, chleb. Gdybysmy nie dostali z domu jedzenia, to może wyżylibysmy i bez niego, bo my byliśmy jeszcze silni, ale ci, którzy byli tam już dłużej - po 25 lat... My byliśmy wolni, nas nikt nie pilnował, ale były też baraki więźniów. Ale kto tam ucieknie, jak ludzie z głodu nie mogli nóg ciągnąć.

Nie było ograniczeń na paczki i na listy. Kiedy przychodziła paczka, to już wszyscy jedli. N,kt nie liczył swojego: dziś ja dostałem, jutro może on dostanie - aby przeżyć.

Przeżyłem w tym lesie 3 lata, do 1955 roku. Kiedy Stalin zmarł, to kto tylko mógł, to śpiewałby z radości.

Na święta nie było dnia wolnego. Szło się normalnie do lasu do pracy, bo z czego było żyć. Choć Buturla Janek czasami mówił: "Dziś do roboty nie idę. Choć "ni ũjezna ale ũleżna", - i leżał. A potem kiedy jechaliśmy do domu, to nie miał grosza na bilet, a bilet trzeba było kupić za swoje, bo tylko w tamtą stronę zawieźli nas bez biletów.

## II strona

Jak kołchoz się organizował, to przyjeżdżali z Lidy-władze, przychodzili do deputata. Deputatem wybrano Żuka - to był normalny gospodarz, taki jak i inni, miał trochę szkoły.

Pierwsza próba zorganizowania kołchozu była już w 1940 roku, ale wtedy kołchoz nie zdążył się zorganizować. A w 1952 roku do kołchozu należała już prawie cała wioska, tylko siedmiu gospodarzy nie wstąpiło: My, Wiktoś Furman, Helcia Połtawska i jeszcze ktoś. W całej wiosce było 150 gospodarstw. Furman powiedział, że będzie zdychać z głodu /miał siedmioro dzieci/, ale do kołchozu nie pójdzie. I aż do wyjazdu do Polski w latach 50-ch ci go-

Sareło Stanisław c.d.

spodarze do kołchozu nie wstąpili. Wyjechali do Polski.

Do Polski z Ejtun wyjechało pół wioski: Wirszyło, My-Sareło, Wojciechowicz, Kajlewicz, Żuk, drugi Żuk, Dziewczyny Bildziów i inni. W czasie repatriacji w 1945-46 roku z Ejtun nikt do Polski nie wyjechał. Ludzie chcieli wyjechać, ale to się nie udało. Wtedy Oles Sareło miał wyjeżdżać: wszystko wymłócił, wszystko przygotował - i wszystko się pokręciło. Oles wrócił z frontu i nie chciał zostać w Ejtunach, powiedział, że jedzie na zachód.

W wojsku z Ejtun byli: Józek Sareło, drugi Józek Sareło /nasz/ Oles Sareło, Karol... Chłopcy ci zostali wzięci w łapankach - wieś była kilka razy przeczesywana. W wojsku był też Adolf Kuziuk, Rojsza. Zginęli na froncie: Sareło Jan /Piatrukoŭ/ - był na froncie razem z naszym Józkiem, strasznie bał się przeskakiwać z okopu do okopu; Szmajło Witek - jest w Łodzi, bez nogi, też był z naszym Józkiem, Józek go wyciągnął z okopu rannego i rzucił do innego okopu. Zginął też Wacek Juchniewicz i Kuziuk Adaś, i Janek Ostrejko.

Z frontu wrócił do Ejtun Kostek Żuk - wyjechał potem do Polski w latach 50-ch /zmarł 2 lata temu w Ragożewicach/; Sareło Józek i Oles Sareło /nasz Józek został już tutaj po wojnie/.

Wszyscy ci chłopcy, których zabrano do wojska, byli przedtem w partyzantce. Wśród nich był też Staś Bıldź - wrócił z wojska i zmarł w Ejtunach, do Polski nie wyjechał /w zeszłym roku zmarł/.

Witolda Sareło, który był w partyzantce, wywieźli na Sybir. Nasz Józek też był w partyzantce, i na zbiórki chodził, i w lesie był /do domu czasami przychodził/. A Sareło Michaś, ten, który teraz jest w Lublinie, to był całym ich dowódcą. I z Cieszkielów - Łynkiewicz. Michaś już nie żyje. A losów Łynkiewicza nie znam, to już był starszy gość. Michaś Sareło też był na Syberii - i potem po przyjeździe do Polski osiedlił się w Lublinie. Bolek Wirszyło też był na Syberii. Potem przyjechał do Polski, mieszkał w Piechowicach, a kiedy jego córka Wanda wyszła za męża i dostała mieszkanie w Lublinie, to przeniósł się do Lublina. Byliśmy na jego pogrzebie w Lublinie. To był mamy brat stryjeczny. W 1940 roku on był prezydentem sielsowietu. Kiedy Niemcy przyszli, to chcieli go rozstrzelać. A potem był w AK. A potem Rosjanie, kiedy drugi raz przyszli, to obebrali go tak, że został w samej koszuli: zabrali drzewo na budowę domu. Zabierał ten sam Pluto, który od nas klacz zabierał.

W 1939 roku Niemcy zrzucili na Ejtuny 3 bomby, wioska się paliła. Zginęło wtedy 15 osób. Wtedy z Bieniejek przybiegli do nas ludzie, zgromadzili się na środku wioski pod klonami i lipa-

Sareło Stanisław c.d.

mi. Niemcy zobaczyli z samolotów to zgromadzenie. Ludzie z Bieniejek uciekli do Ejtun, bo Bieniejki się paliły. Wtedy spaliły się też prawie całe Ejtuny.

Cała polska partyzantka szła przeciw ruskim. W Trokielach zabito priedsiedatiela. Ten, który zabił, chował się potem w lesie. To był człowiek z Dejnowa. Zabił tego priedsiedatiela z dubeltówki. A potem ten zabójca sam się zgłosił - wyszedł z lasu w marcu, kiedy było głosowanie. Przyszedł, zagłosował pierwszy i krzyknął, "niech żyje sowiecka władza"! Darowali mu tą winę - dla przykładu, że był głupi, ale przeszedł na stronę władzy. Jak zaczęły się kołchozy, to ludzie sprzeciwiali się różnie: palili na polach zboże, żeby kacapom nie było. Ale i to nic nie dało, musieli iść do kołchozu. Na Sybir z Ejtun rodzin nie wywozili. Wywieźli tylko pojedynczych chłopaków - po wojnie, za AK.

Wioska nie była bogata, ale żyło się w niej bardzo wesoło. Ludzie zbierali się, trochę wypili, pośpiewali sobie, potańczyli. Na wódkę pieniędzy nie było, ale ludzie robili bimber /przed wojną chyba bimbru nie robili, to zaczęło się po wojnie, kiedy ludziom już wszystko odebrano/.

Przed wojną nauczycielka była dla dzieci surowa. Mieszkała sama. Raz na tydzień wożono ją furmanką do Lidy po zakupy.

Ludzie w 50-ch latach wyjeżdżali do Polski, bo nie mieli wyjścia; zaczęli ludzi dusić, gnębić. Było i biednie i strasznie. Zabierali wszystko, kruszyli, rozbierali stodoły. Najeżdżała cała ekipa i gnębiła ludzi. Nam wprost powiedzieli: "Ciebie Sareło nic nie uratuje, tylko wyjechać do Polski". Ale i <sup>w</sup>50-ch latach były kłopoty z załatwieniem dokumentów. Dokumenty załatwiało się w Lidzie. Ja sam chyba z tydzień stałem w kolejce. Czasami trzeba było 2 razy dziennie na rowerze przejechać z Lidy do Trokiel /15 km/ żeby wziąć zaświadczenie, a tu w sielsowiecie nie chcieli wydawać. Potem ludzie gadali, że przyjechała jakaś delegacja z Polski do Rosji i potem już było łatwo załatwić dokumenty.

Półowa wioski została z różnych powodów. Niektórzy nie chcieli wyjeżdżać, niektórzy nie zdążyli załatwić. Kiedy my wyjeżdżaliśmy, to w Ejtunach była 7-klasowa szkoła, był sklep, klubu ani kina nie było /kino przyjeżdżało objazdowe/. Ludzie już mieli wtedy rowery, zegarki. Pieniądze miał ten, kto jakoś skombinował - handlowało się byle czym - ludzie wozili do Rosji mąkę na sprzedaż. Ja sam kupowałem mąkę w Wilnie i wozikiem do Mińska, jeździłem na Borysów. Handlować nie wolno było. Najmowaliśmy samochód i samochodem woziliśmy. Kiedyś milicja z Wilna goniła



Sareło Stanisław c.d.

nas aż pod Soleczniki, a innym razem w Oszmianie, to za bory samochodu się czepiała. A kiedyś to aż pod Trokieli nas goniła - a myśmy uciekli do Połtawskich i kierowca zgasił światło w samochodzie. A milicja wtedy pojechała na Lidę. Nie wolno było wtedy handlować, bo za to była likwidacja imuszczeństwa, jeżeli by złapali. Nie słyszałem, żeby wsadzali do więzienia za spekulację, ale może i to się zdarzało. Ale ludzie spekulowali, radzili, jak kto mógł. A jak zarabiali w kołchozie - tego nie wiem, do kołchozu nie należałem. Jeden dzień w roku odrabiałem w kołchozie za to, że po kołchozowej ziemi chodzi nasza krowa.

Przed wyjazdem do Polski mieliśmy krowę i jałówkę. Mieliśmy też konia. Na konia kosikiem trawę na wyrobiskach torfowych i nosikiem. Wiosną z koniem orałem wszystkim ludziom aż do Owsiadowa działki.

Wyjeżdżając do Polski sprzedaliśmy dom. Kupił go jakiś dyrektor szkoły z Lidy. Tak, że w domu jeszcze było pełno gości przed naszym pożegnaniem, a tu już dach zrywali. Za dom wzięliśmy 9 tysięcy, wtedy pieniądze były drogie i za tą sumę już można było co nieco kupić.

Żałuję, że trzeba było wyjechać, bo mój los tak się ułożył, że ja tu nic nie użyłem. Całe życie haruję jak wół. Trzeba było życie zaczynać od igły i od łyżki. Zostałem tak jak stoję. Niektórzy ludzie przyjechali i stamtąd z jakim takim dobytkiem - poprzywozili i rowery, i wirówki, i maszyny do szycia. Żeby teraz stamtąd ruskich wypędzili, to pojechałbym z powrotem. Zabrałbym od tego ruskiego swoją chatę, a on niechaj jedzie na Rosję, czego on szuka na naszej ziemi. Myśmy wyjeżdżali tutaj do Polski, a oni przyszli i zabrali nasze "na chama".